

KNUT HAMSUN

WŁÓCZĘGI



Knut Hamsun

WŁÓCZĘGI

Wydawnictwo Estymator

www.estymator.net.pl

Warszawa 2025

ISBN: 978-83-68384-15-4

Tłumaczenie: Czesław Kędziński

Redakcja: zespół

Spis treści

CZEŚĆ PIERWSZA

Rozdział I
Rozdział II
Rozdział III
Rozdział IV
Rozdział V
Rozdział VI
Rozdział VII
Rozdział VIII
Rozdział IX
Rozdział X

CZEŚĆ DRUGA

Rozdział I
Rozdział II
Rozdział III
Rozdział IV
Rozdział V
Rozdział VI
Rozdział VII
Rozdział VIII
Rozdział IX
Rozdział X

CZEŚĆ PIERWSZA

Rozdział I

Dwaj mężczyźni przywędrowali od strony wsi sąsiedniej. Obaj mieli ogorzałe twarze i rzadkie, szpakowate wąsy. Jeden z nich dźwigał na plecach katarynkę.

Nikt w całym osiedlu nie spodziewał się tego dnia czegoś niezwykłego. Aż oto wyłonili się owi dwaj przybysze, upatrzyli sobie przestronniejszy placzyk pomiędzy chałupami, na kiju ustawili katarynkę i zaczęli grać. Zewsząd, ze wszystkich chałup zbiegli się ludziska, dzieci i kobiety, wyrostki i kulasy, szerokie koło otoczyło muzykę. Obecnie zimą działo się tak mało ciekawego, mężczyźni wszyscy byli na Lofotach, nikt nie tańczył i nikt nie śpiewał, biedna i nędzna była cała gmina. [Lofoty – archipelag przybrzeżnych wysp na północy Norwegii (przyjp. red.)] Pojawienie się więc tych dwóch nieznanych grajków było zdarzeniem wielkim, przygodą nie lada; nie było z pewnością nikogo, kto by tej przygody nie spamiętał sobie do końca życia.

Jeden z przybyszów kręcił katarynkę. Jedno jego oko miało jakiś defekt, zdaje się, że było ślepe. Drugi przybysz niósł worek, poza tym jednak stał beczynnym, był tylko towarzyszem, stał tedy i przyglądał się swym znoszonym butom z cholewami. Nagle zerwał kapelusz z głowy i podsunął go zgromadzonym, lecz jakże mógł się spodziewać pieniędzy w tej nędznej dziurze, gdzie wszyscy po prostu biedę klepali aż do wiosny, do powrotu mężczyzn z połowu ryb! Nie dostał ani grosza i wsadził kapelusz z powrotem na głowę. Postąpił więc i zaczął coś szwargotać ze swym towarzyszem w obcym języku. Szwargotał coraz głośniej i coraz gwałtowniej, zdawało się, jakby chciał go zmusić do przerwania muzyki i opuszczenia osiedla. Ale kataryniarz grał dalej, nastawił na nowy kawałek i kręcił melodię cichą a poważną, która wzruszała do głębi słuchaczy. Pewna młoda kobieta, która mogła pozwolić sobie na więcej może niż inne, odwróciła się nagle i zamierzała, zdaje się, pójść do domu po jakiś pieniądz. Towarzysz grającego jednak snadź źle to rozumiał, przypuszczał widocznie, że ona odchodzi i już nie wróci, więc wykrzykiwał coś za nią i wykrzywił szpetnie gębę.

– Milcz! – krzyknął na niego kataryniarz.

Milcz? Towarzysz nie należał do tych, którym by można nakazać milczenie. Wściekł się, przyskoczył do kataryniarza i zaczął go młócić. To by jeszcze uszło. Ale na pół ślepy muzykant nie mógł się przecie bronić, uważać musiał na swoją katarynkę chwiejącą się na kiju, skulił się więc tylko i głowę chronił między ramiona. Jęk przerażenia wydarł się z piersi słuchaczy na tę niespodziewaną napaść, koło nagle się rozszerzyło, dzieci przestraszyły się i zaczęły krzyczeć.

Wtedy wyskoczył naprzód Edewart, wyrostek trzynastoletni, piegowaty, o konopiastej czuprynie, oczy jego skrzyły się od wzburzenia. W zapamiętaniu swym byłby może gotów zaryzykować nawet życie. Podstawił nogę napastnikowi, ale bez powodzenia, spróbował jeszcze raz i oto udało się, napastnik runął jak długi. Chłopak dyszał niby miech kowalski, matka jego wrzeszczała, pragnąc go odciągnąć z pola walki, ale Edewart nie ruszył się. Stał jakby oszalały, wykrzywił usta i wyszczerzył zęby.

– Słyszysz, wracaj zaraz do chałupy! – krzyknęła ponownie pełna lęku matka. Wybiedzona była i chorowita, ot, pyłek szary człowieka, cicha i bogobojna, ale bez najmniejszej nad nim władzy.

Napastnik podniósł się z ziemi, spojrzał na niego z ukosa, nic mu jednak nie uczynił, przeciwnie. Wyglądał jak zmyty i z udaną skrupulatnością strzepywał z siebie śnieg. Potem gadał znowu coś do kataryniarza, pogroził mu obu pięściami i chyłkiem się wycofał, zniknął.

Kataryniarz pozostał sam. Trochę nosem pociągał i szlochał. Miał na policzku czerwoną pręgę o barwie krwi osobliwej, niebieskawej, lecz pochodziło to zapewne stąd, że przywędrował z dalekich krajów, tedy śniadą miał skórę.

– Temu należały się kije! – warknęła młoda kobieta i rzuciła spojrzenie za napastnikiem. Potem poszła do chałupy po pieniądze.

Skoro inne kobiety to spostrzegły, chciały się okazać niegorsze od niej i znikwały jedna po drugiej, spiesząc po pieniądze. A Bóg jeden wie najlepiej, czy kataryniarz nie posiadał więcej dóbr doczesnych niż te, które go obdarowywały. Wszystkie były biedne, ale serca ich wezbrały ofiarnością. Przyniosły półgrosze, niektóre nawet ciężkie dwugroszaki z miedzi, a więc coś, co stanowiło wówczas duży pieniądz, i pocieszały tym chlapiącego mężczyznę.

Teraz jednak i kataryniarz nie chciał okazać się niewdzięcznikiem. Odsunął nagle kłapę frontową katarynki i oczom wszystkich ukazał się teatr, istny raj.

– Ach! – wydarło się z piersi widzów. Nigdy w tych okolicach nie widziano czegoś podobnego: małe figurki ozdobione farbami i złotem, stały na scenie, poruszały się w takt muzyki powoli i szybciej, obracały się, wykonały krok naprzód, odwróciły się, przystanęły na chwilę i znowu się obracały.

– Napoleon! – rzekł kataryniarz i wskazał palcem figurkę środkową.

Wszyscy już słyszeli niegdyś imię Napoleona i dlatego wybałuszyli na figurkę zdumione oczy. Stali przy niej dwaj generałowie, również przyozdobieni farbami i gwiazdami, a kataryniarz wymienił ich nazwiska. Obecni jednak przyglądali się przede wszystkim Napoleonowi. Ubrany był w szarą zarzutkę i dzierżył w ręce krótką lunetę, raz po raz podnosił lunetę do oka i znowu ją opuszczał. Na przedzie, przed wszystkimi tymi dostojnikami, stał chłopaczek osobliwy, mały, w podartym ubranku i boso, uśmiechnięty; ręką wyciągniętą, w której dzierżył maleńki talerzyk, prosił o jałmużnę. I za każdym razem, gdy pieniądz jaki spoczął na talerzyku, chłopak lekko nim szarpnął i zrzucił zawartość do małej skrzyneczki. Dziw nad dziwy, chłopak był żywy, zdawało się, iż wyciągając ponownie rękę z talerzykiem, jeszcze więcej się śmieje.

A kataryniarz grał marsze i walce; melodie płynęły, unosiły się ponad ludźmi i chałupami. Kundel jakiś siedział opodal na śniegu i wyl pod niebiosą. Był to dzień naprawdę pamiętny.

Kiedy groszy zabrakło i chłopak już znieruchomiał, wtedy pewna dziewczynka złożyła na talerzyku błyszczący guziczek. Był to zapewne jedyny błyszczący guzik, jaki posiadała, ale nie pieniądz. I teraz oto stał się cud nad cudy, największy, jaki kiedykolwiek widziano; chłopak odwrócił się raptownie i odrzucił guziczek daleko w śnieg. Na chwilę oniemieli wszyscy. Widział to świat? Czyżby chłopak ten był człowiekiem? Pierwsza zaśmiała się młoducha, włożyła na talerzyk haftkę i tę również odrzucił daleko. Wtedy zaśmiali się wszyscy. Dziewczynka jednak ukłękła w śniegu i zaczęła szukać wzgardzonego guziczka.

Niebawem tak się wszyscy rozegrali, że jeden po drugim rzucali na talerzyk przedmioty bezwartościowe: gwoździe, kamyki, drewnianka. Aż wreszcie obdartusek zniecierpliwił się i potrzywał talerzykiem bezustannie, a tak gwałtownie, że już nic nań położyć nie było można. Czyż nie był on tam jedynym rozumnym wśród wszystkich?

Kataryniarz przestał grać, zatrzasnął kłapę i odkręcił korbę. I ciężko westchnął.

– Czemu łazicie razem z tamtym? – spytał Edewart ponuro.

Kataryniarz objaśnił tak, jak umiał: katarynka jest ich wspólną własnością ale kamrat taki złośnik, popatrzcie – raz to go nawet nożem dźgnął w oko. Kataryniarz nie odważyłby się za nic w świecie pokazać Napoleona i inne figurki w obecności kamrata, człowiek ten jest tak zapalczywy, że cały teatr porozbijałby w kawałki.

– A skąd pochodzicie? – spytał Edewart.

– Z Armenii.

– Gdzie to jest?

– O, daleko, minąć trzeba wszystkie kraje. Tak, tak. Za wielu górami i wielką wodą. Z rok jechać trzeba...

– Wejdźcie i posilcie się trochę – zaprosiła młoducha.

Towarzyszyli mu wszyscy. Do izby weszło tylu, ilu się zmieściło, reszta pozostała na dworze, zazierając do wnętrza przez okno. Człowiek ten nie odznaczał się zresztą niczym nadzwyczajnym, ot, siedział sobie i głowę zwiesił, i budził litość. Widzieli, jak przed jedzeniem się modlił, jak pałaszował śledzie i ziemniaki, a potem zupełną jęczmienną, a wreszcie jak znowu się modlił i chciał wstać i dziękować.

Młoducha rzekła:

– Dałabym wam jeszcze kubek kawy, gdybym miała.

– Mam trochę u siebie – wyraziła swoją gotowość inna kobieta.

– Ano, to mogłabyś mi choć łyżkę pożyczyć.

Pragnęły zatrzymać go wśród siebie jak najdłużej i nie puścić, ażeby możliwie najdłużej pozostał z dala od swego okrutnego kamrata.

– Dokąd on też poszedł? – zapytywały.

Tego nikt nie wiedział, nie wiedział także kataryniarz.

A może odczepił się teraz od niego na zawsze?

– Ach, co to to nie! – Kataryniarz potrząsnął głową i westchnął. I zaczął uderzać zeszytymi na mrozie buciskami, noga o nogę.

Pytały go, czy mu zimno w nogi. Ano, zimno. Potem pytały go o skarpetki, tak, miał skarpetki, dziurawe, wiele dziur, duże dziury. Tak, tak, tak.

Spojrzały po sobie i kiwnęły porozumiewawczo. A młoducha, która znowuż na najwięcej mogła sobie pozwolić, wyszukała parę nowych pończoch – takich, które aż do kolan sięgały – i dała mu je. A na wierzchu miały niebieską lamówkę. Były to ładne i dobre pończochy.

– Tak, ty, Marianno, ty jesteś zawsze ta sama! – szepnęły kobiety z podziwem.

– Wciągnijcie je zaraz! – rzekła Marianna.

Na to przystać nie chciał, nie, zachowywał się tak, jakoby żał mu było marnować te pończochy; do ust je przykładał, a potem schował za pazuchę. Wzruszył do głębi wszystkie serca.

Tymczasem w kącie izby stał ktoś, co powziął postanowienie. Był to Edewart. Kiedy kataryniarz za wszystko już podziękował, wtedy wziął na plecy katarynkę i pokuśtykał w dalszą drogę.

– Idźcie z Bogiem! – wołali za nim. Posmutniałe oczy towarzyszyły mu, dopóki nie zniknął. A Edewart poszedł za nim chyłkiem w pewnym oddaleniu.

Kataryniarz, zaszedłszy do lasu, odwrócił się powoli i spostrzegł Edewartą.

– Dokąd idziesz? – spytał.

– Nigdzie – odpowiedział Edewart.

– Nigdzie? Tak?

– Chcę was obronić przed waszym kamratem – rzekł Edewart.

– Obronić? Nie.

– Zbiję go na kwaśne jabłko!

Na to uśmiechnął się kataryniarz:

– Kamrat strasznie mocny, Węgier, wielki wojak, żga nożem.

Edewart nie pozwolił się nastraszyć, wyprzedził kataryniarza i kroczył przed nim.

– Głupiec, głupiec! – wściekł się nagle kataryniarz. – Wracaj do domu! Czego tu chcesz?

I wtem zza krzaka jałowcowego wysunął się niespodzianie jakiś drab: kamrat w całej swej postawie. Najpierw obejrzał się na wszystkie strony i zbadał sytuację. Potem zapytał o coś i kataryniarz odpowiedział. Wtedy ryknęli obaj śmiechem.

A Edewart stał jak wryty. Węgier przybrał postawę wojowniczą.

To by jeszcze narwanego chłopaka nie odstraszyło. Ale teraz i kataryniarz odstawił swoją katarynkę i przemówił do niego groźnie. Co to wszystko ma znaczyć? Głowa Edewarty nie nawykła jeszcze do orientowania się w sprawach niejasnych. Chłopak kiepsko sobie dawał radę z czytaniem i rachunkami, ale pięści miał rzetelne i gdy się rozgniewał, wściekłą odwagę. Teraz cofnął się o kilka kroków.

Kamraci nie zwracali już na niego uwagi, pozwolili mu stać tam, gdzie stał. Kataryniarz sięgnął po trochę śniegu i zaczął zmywać z policzka czerwoną pręgę; kamrat był mu przy tym pomocny i wskazywał miejsce, gdzie ma myć. Następnie otworzyli skrzyneczkę katarynki i liczyli pieniądze. I pończochy wyjechały zza pazuchy kataryniarza, a po dokonanych przeglądzie spoczęły w worku Węgra.

Potem kataryniarz wziął znowu swój ciężar na plecy, obaj kiwnęli w stronę Edewarty i powędrowali na północ do następnej miejscowości.

Edewart z całego ich zachowania się rozumiał i teraz nie więcej niż przedtem, spotalniał całkowicie. A kiedy mu wreszcie zaświtało w mózgowicy, że go może wystrychnęli na dudka, sięgnął z pasją po śnieg i ugniótł potężną kulę, lecz gdy już była dostatecznie twarda, opuścił ją i pozostawił na śniegu.

Inny to już był chłopak, gdy wracał do domu – trochę zwiotczały, zgorzkniały, zniechęcony. Poszedł do owej dziewczynki, która jeszcze w śniegu szukała, i zapytał:

– Nie znalazłaś jeszcze swego guzika?

– Nie – rzekła.

– Nic sobie z tego nie rób.

Na to dziewczynka nic nie odpowiedziała, jeno dalej szukała.

Edewart nie bardzo był w zgodzie z książkami, a w szkole wyglądał wręcz żałośliwie. Za to jednak posiadał instynkt. Zapewne. Stanął wpiern tam, gdzie stała katarynka, wymierzył na oko, jak daleko guzik mógł być upaść, a potem zaczął i on szukać. Dziewczynka trzymała się blisko niego, snadź nowa nadzieja w nią wstąpiła.

– Miał na sobie koronę – mówiła o guziku.

I kiedy tak szukali, zaczęto z jednej z chałup wołać na dziewczynkę:

– Ragna, gdzie jesteś?

Ragna nie odezwała się. Szukali cierpliwie, każdy z wiórkiem w ręce odgarniał śnieg dokoła, aż nareszcie guzik znaleźli, znalazła go dziewczynka, ucieszyła się bardzo i co tchu pobiegła do chaty.

Wszystko to było zdarzeniem i przypadkiem w życiu Edewarty. Z przeżycia swego w lesie nie od razu wprowadził jasny wniosek, ale gromadziło się w nim to jako podstawa dla doświadczeń późniejszych. Następnej zimy najęto go jako „kawalek” mężczyzny do połowu ryb na Lofotach, mimo że nie był jeszcze po konfirmacji. Była to rzecz nie lada. Chłopcy starsi od niego musieli pozostać w chałupie. Dobrze było dla niego, że się stąd wydostał, w ten sposób dorwał się do głosu, bo i on miał teraz coś do gadania.

Ale wiosną przy egzaminie konfirmacyjnym przepadł z kretesem. Była to w oczach wszystkich wielka sromota, a w szczególności dla jego ojca i matki, którzy wszakże oboje umieli czytać i bardzo byli nabożni. Edewart musiał pozostać w szkole jeszcze jeden rok i skutkiem tego znacznie upadł na duchu. Kiedy nareszcie ukończył piętnasty rok życia, wtedy dopuszczono go do konfirmacji i uznano poniekąd za dorosłego. W czytaniu był bardzo kiepski, a książek lękał się, lecz mimo to nie był głupszy od innych, a przy tym rozrósł się i nabral krzepy. Przy robocie był jedyny i w dodatku poczciwy i dobroduszny, dobra podpora rodziców i rodzeństwa.

Pewien młodzieniec powrócił do ojczyzny z dalekiego świata. Na imię mu było August i był sierotą. Pochodził właściwie z innego obwodu, ale tu wyrósł. Otóż pominąwszy wiele innych zajęć, kilka lat strawił na marynarstwie i zwiedził kawał świata. Kiedy opowiadał, życie jego wypełniały jak gdyby same dziwy i cuda. Bogaczem nie był i nawet nie usiłował uchodzić za takiego, posiadał jednak piękne granatowe ubranie, miał srebrny zegarek i kilka talarów w kieszeni. Ponieważ krewniaków nie miał, przeto zamieszkał u kobiety, u której się wychowywał. Lecz włóczył się sporo po okolicy, wszędzie mile widziany; wzdychały do niego młode dziewczki, a chłopcy, słuchając jego opowieści, rozdziawiali gęby szeroko. Pomiędzy nim a Edewartem wytworzyła się serdeczna przyjaźń.

A przyjaźń ta zawiązała się w sposób następujący:

August uległ na okręcie jakiemś nieszczęśliwemu wypadkowi, okaleczył sobie twarz i stracił kilka zębów. I teraz oto rzecz tę starał się ukryć przy pomocy zamasyztego wąsa i szeregu złotych zębów, czyli tak zwanego „mostka”. Edewart nigdy jeszcze nie widział zębów tak wspaniałych i zastanawiał się nad tym, czy nie mógłby sobie także takich kupić, gdy kiedyś zdobędzie dużo własnych pieniędzy. August opowiadał, gdzie te zęby kupił, i wymienił cenę. Ho, ho, nie była to drobnostka, musiałyby miesiące i lata całe na nie oszczędzać. Dziewki zębom Augusta nie przyganiały, ale chłopcy zaczęli się z niego śmiać i natrząsać. Byli zazdrośni i źli na Augusta, który przyplątał się tu i gromadził dokoła siebie dziewczęta.

Po pewnym czasie sprawa się pogorszyła, chłopcy trzymali z sobą, wyszydzały marynarza na każdym kroku, aż nareszcie udało się i u dziewcząt wywołać nastrój przeciwko niemu. Ba, nawet młoda Marianna palnęła mu wobec wszystkich, że nie ma rozwierać gęby, kiedy się śmieje.

– Czemu nie? – zapytał August.

– Ano. Nie powinienes tak pokazywać tych zębisków.

Wtedy kilku ryknęło śmiechem, a August, dobroduszny i obojętny, jak na marynarza przystało – nic już na to nie odpowiedział.

Ale tu przebrała się miara cierpliwości Edewart. Zwrócił się do młoduchy i rzekł:

– A ty niepotrzebnie dałaś kataryniarzowi pończochy.

– Czemu nie? – spytała Marianna głosem niepewnym.

– Co za pończochy? – spytał jej mąż, któremu na imię było Karolus.

– Nowe pończochy – rzekł Edewart.

Marianna podeszła nagle do okna i tam zaczęła coś manewrować, niby szukać czegoś i stamtąd zapytała:

– A czemuż to nie miałam mu ich dać?

– Ano, bo były mu niepotrzebne. Sprzedał je dalej na folwarku za osiemnaście szylingów.

– Wiesz to na pewno?

– Tak, na pewno. Nie chciał się włóczyć z nimi. Pończochy te widziałem tam na górze na własne oczy.

Marianna warknęła:

– Nie rozumiem, co to ciebie może obchodzić.

Ale teraz znowu zabrał głos jej mąż:

– Cóż to były za pończochy?

Usłyszawszy objaśnienie, nie ruszył się z miejsca, choć twarz mu się zachmurzyła, a tymczasem Marianna zaczęła płakać. Mąż rzekł po chwili:

– Hm, to było zeszłego roku. To było wtedy, kiedym powrócił, a ty nie miałaś dla mnie pończoch na zmianę. Chciałaś się więc pokazać bogaczką, którą stać na darowanie pończoch.

– Żałuję, że tak zrobiłam – odparła Marianna, pociągnąwszy nosem.

Do rozmowy wtrącił się teraz młody jej krewniak, któremu na imię było Teodor:

– Jakby było, w każdym razie tobie, Edewart, nic do tego.
– Nie. A co tobie do złotych zębów Augusta?
– Słyszał kto takiego śmierzdźla! – krzyknął Teodor. – Zapomniał już, że go pleban odpędził od konfirmacji.

Na to Edewart, pobladły i z zapalczywością w oczach:

– A czy wiesz ty, o czym tyś zapomniał? Zapomniałeś, że ci jelita wyłażą i przytrzymywać je musisz paskiem.

Teodor podniósł się wściekły.

Pan domu, Karolus, ściągnął go z powrotem na ławę. Edewart nie byłby w każdym razie ratował się ucieczką, wściekł się po prostu i był gotów na wszystko.

Teodor powiedział jeszcze, że ma swoje własne, zdrowe zęby, więc nie potrzebuje chodzić z nimi do kowala. Na co Edewart odpalił, że to i całe jego szczęście, bo nie starczyłoby mu nigdy na kupno takich zębów, jakie ma August.

Ale Teodor nie dał za wygraną, jeno rzucał coraz to nową szpetnie złośliwą uwagę. I byłby zapewne umilkł wcześniej, gdyby nie ustawiczne odgryzanie się Edewart.

Od tego dnia począwszy, August i Edewart zaczęli kolegować się przy rybołówstwie. Wracali do chałupy z niejednym dorszem i srebrzystym wąłuszem. Nie okazywali przy tym sknerstwa, a przeciwnie, po zaspokojeniu własnego zapotrzebowania dziennego odstępowali i innym coś niecoś ze swej zdobyczy. Wiele kobiet błogosławiło im przez całą długą jesień.

Gdy nastał czas przygotowań do połowu na Lofotach, zapytał Edewart pewnego dnia:

– Nająłeś się?

– Nie – odparł August – dotychczas nikt mnie o to nie pytał.

– A sam nie zwrócisz się do nich?

– Nie. Przecie wszystkie chłopcy są przeciwko mnie.

– Ano, co w takim razie będziesz robił zimą?

– Pójdę znowu na morze – odparł August.

– Oj, żeby i ja mógł z tobą wyruszyć.

Żaden z nich jednak tej zimy nie wyjechał, a Edewart nie wyruszył nawet na Lofoty, mimo że mógł być otrzymać robotę z udziałem dorosłego mężczyzny. Było to powodem rozczarowania dla jego rodziców. Ojciec wprawdzie nie zaciągał się nigdy do połowu ryb na Lofotach. Otrzymywał on drobne wynagrodzenie za to, że utrzymywał w porządku linię telegraficzną i oto Edewart zawiódł i nie zarobił ani grosza, którym by się poratował. Chłopak powinien by więcej pamiętać o własnej korzyści, ale teraz trudno zmienić cośkolwiek. August włóczył się po całej okolicy i skupował futra i skóry, a Edewart towarzyszył mu i pomagał dźwigać.

Okazało się, że August nie posiadał bynajmniej za mało talarów w kieszeni. Ofiarował Edewartowi to samo wynagrodzenie, jakie otrzymywał zwykły najemnik za pracę zimową na Lofotach. Był to więc stosunek całkiem uczciwy i Edewart nic na tym nie stracił. A nadto uczył się wiele z doświadczeń Augusta i spoglądał na niego jako na żeglarza światowego i niepospolitego zucha.

Kupowali skóry, najczęściej skóry cielęce, czasami i skórę owczą, a kiedy niekiedy skórę krowią. W tym czasie wybuchła nagle jakaś choroba wśród psów, przywłókł ją jakiś pies przybłąda i zaraził cały obwód. Augusta i Edewart, jako jedynych pozostałych na miejscu chłopów, przywoływano zewsząd na pomoc; zabili oni niejedno zwierzę, obłupili je i otrzymywali w nagrodę skórę. Ale co do tego handlu skórą – czy August znał się na tym? Ho, ho, wiedział on niejedno, tak przynajmniej twierdził; podczas rozlicznych swych zajęć w obcych krajach pracował przez pewien czas także i na fermie owczarskiej w Australii.

W okresie zbliżającego się postu August rozszerzył swój handel, stał się nabywcą skór kosztowniejszych: wyder, lisów i gronostajów. Wytrasnął skądś strzelbę i dwa różne potrzaski i wybrał się sam na łowy. Powodzenie mu sprzyjało, ponieważ od dłuższego już

czasu nie padł w tych okolicach ani jeden strzał. lisy i wydry nie należały tu wcale do rzadkości, a pewnego dnia August powrócił nawet z niebieskim lisem i wydrą jednocześnie. Ambicją jego było pochwycić gronostaja. Opowiadał często Edewartowi, że płaszcze królewskie są obszyte futerkiem z gronostajów, ale strachliwe te stworzenia trafiały się bardzo rzadko i trudno je upolować.

Czas mijał, obydwaj spełniali swoją codzienną robotę przy skórach. Rozpinali je na ścianach lub rozciągali na drągach, by je na wietrze wysuszyć, a gdy się już należycie wysuszyły, sortowali i wiązali według gatunków. A kiedy na wiosnę mężczyźni wrócili z Lofotów, dwaj kamraci posiadali już mnóstwo skór nagromadzonych w stodołach i szopach. Skórki gronostajowej jednak nie udało się im zdobyć. Za to dnia pewnego, gdy znikły lody, a oni popłynęli polować na ptactwo morskie, udało im się zastrzelić fokę. Foka – to gość w fiordzie tutejszym nader rzadki. Skórę miała piękną.

Ludziska na całe to przedsięwzięcie skórne Augusta potrząsali jeno głową.

– A nie kupiłbyś także skórek mysich? – spytał drwiąco młody Teodor.

Spekulacja Augusta była tu w każdym razie czymś całkiem nowym i nieznanym, a kiedy zamierzał wynająć łódź, ażeby skóry przewieźć na targ, wtedy właściciel łodzi, Karolus, doradzał mu, by zaniechał podróży, bo nie pokryje mu nawet kosztów wynajmu łodzi! Ale August znał się coś niecoś na interesie, skóry zakupił prawie za nic, a nadto nawiązał stosunki z wielką hurtownią skór „Klem, Hansen i Sp.” w Trondhjem, której okrągłe pieczętki na niebieskawo garbowanych podeszwach znane są na całej Północy. Tak, August otrzymał dokładne wiadomości. I oto latem przedstawiciel firmy „Klem, Hansen i Sp.” ma przybyć na Północ i otworzyć budę na jarmarku w Stokmarknes i tam August ma przywieźć swój towar. Ale cóż, kiedy nie posiadał łodzi.

August zaczął się spotykać z wyraźnymi objawami niechęci. Teraz oto parobczaki wróciły z Lofotów z pieniędzmi w kieszeniach, tudzież z najróżniejszymi towarami. August natomiast nie posiadał nic prócz skór nagromadzonych w różnych stodołach gospodarzy całej okolicy i na to wydał zapewne ostatni swój grosz.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI